

---

---

# Nasz Głos

---

---

Miesięcznik Naukowo-Literacki  
Organ Młodzieży Szkolnej

---

---

„Niech każdy, jak ów Greczyn, głosi dzielność swoją  
— Mocniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję”.

A. MICKIEWICZ.

ROK 1931



Cena 50 gr.



18956  
+5381

---

---

## TREŚĆ ZESZYTU GRUDNIOWEGO:

- 1) Język podstawą kultury narodowej.
- 2) Myśl (wiersz).
- 3) Wieczór wigilijny.
- 4) Moc nieznana.
- 5) Nie—Bajka.
- 6) Wszechświat (wiersz).
- 7) Rybak.
- 8) Narodziny natchnienia w Polsce wyzwalającej się (1914—1918).
- 9) Dwa oblicza dramatu.
- 10) Wilja Bożego Narodzenia.
- 11) Lecz my — zmartwychwstaniem (wiersz).
- 12) Kocham ja...! (wiersz).
- 13) Step (wiersz).
- 14) Hanusia (wiersz).
- 15) Powieść o nędzy i Grzędziaku.
- 16) Wolna Trybuna.
- 17) Kronika.
- 18) Humor i satyra.
- 19) Odpowiedzi Redakcji.
- 20) Z okazji świąt Bożego Narodzenia.

---

---

Redakcja i Administracja: Dzisiaj, ul. księdza Piramowicza l. 1.  
Redaktor „Naszego Głosu“ przyjmuje codziennie od 16 do 18 godz.  
Administracja czynna od 15 do 20 godziny.  
Rękopisów się nie zwraca.  
Cena prenumeraty: 5 złotych rocznie z przesyłką.  
Ogłoszenia: za drobny wiersz przed tekstem 50 gr. w tekście 35 gr., pod tekstem 25 gr. Za wiersz garmontowy — podwójnie.

---

---

# NASZ GŁOS

## Spółeczno-naukowy i literacki

---

---

### Język podstawą kultury narodowej.

Natura ludzka lubi drogi utarte, jest rzeką, mającą stare, swoje odwieczne łożysko. Dopiero silniejszy wiatr może to łożysko zmienić. Siłą wyższą jest dla narodu i języka niewola polityczna lub kulturalna, ona łamie lub wypacza charaktery, ona zanieczyszcza i plugawi — język.

Dla narodu polskiego wieloletnia niewola nie mogła być czynnikiem sprzyjającym. Język tem samem ulegał obcym wyrazom, obcym prawom językowym. Groźnym momentem było przymusowe wysiedlenie, tułaczka wśród obcych, życie w odmiennych warunkach. Słowem, zmiana środowiska.

Człowiek jest jak roślina. Jeżeli żyje w odmiennych warunkach musi ulegać częściowej lub zupełnej asymilacji. Przystosowanie się do otoczenia nazywamy prawem mimikry. Wtenczas życie przekreśla teorię, odporność narodowa z biegiem lat staje się słabsza. Język ulega przeobrażeniu. Uderzającym przykładem — język „kresowy“.

Obok warunków politycznych istnieją warunki kulturalne i geograficzne. Wieś mówi inaczej, niż miasto, w Krakowie mówią inaczej, niż w Warszawie lub we Lwowie. Ta różnorodność mowy potocznej na obszarze języka polskiego stwarza bogactwo dialektu. Chcąc uzgodnić język danego narodu kultywujemy język książkowy, by ujednostajnić mowę. Znakomicie służy tym celom druk, będący w rękach sfer wykształconych. Szkoła wyucza kadry młodzieży, mówiącej językiem książkowym, dodatnio wpływa nauka, literatura, teatr, sala odczytowa, nawet komunikaty władz komunalnych i państwowych, nadewszystko — prasa. Ona odgrywa rolę najtańszej książki, uprzystępniając wiedzę. Ona się wciska wszędzie, nawet tam, gdzie nie stać nas jeszcze na szkółkę dla ludu.



Miłość języka ojczystego ma jednak siedzibę w komórce społecznej, a nią jest rodzina, i na wsi, i w mieście. Dlatego mówimy, że z mlekiem matki wyssaliśmy i język macierzysty. To fakt, to nie przesada. Wszystko jedno: czy gwara, czy język książkowy — język rodzica i dziada czy pradziada, trzeba kochać i szanować. Zapomnieć języka przodków, to tyle znaczy, co zapomnieć o duszy zbiorowości całej, być renegatem!

W mowie jest żywe muzeum i mowy i myśli, i uczuć, to żywe zapiski podań, legend, zwyczajów, obyczajów. Dlatego mowa ludu jest kapitałem narodowym. Gardzić nią, dlatego, że gwara jest — nie wolno. Chociaż gwara ludowa bliższą jest, przez ciągłość dziejową, mowy Reja czy Skargi, bo lud nie wentyluje języka „nowinkami” mody, wrócić nam do tego skąd wyszliśmy — już trudno życie gna naprzód, nie powiemy „chlib”, „kobita”, „syr”, bo głosownia się udoskonala. Pochylamy jednak czoło przed „Weselem” Wyspiańskiego, „Na skalnem Podhalu” Tetmajera i „Chłopami” Rejmonta. Tam piękno jest zakute w mocarne słowo króla Piasta. Tam objawiło się żywe słowo chłopca. A skoro tak, mowa potoczna ma prawo obywatelstwa w literaturze i — w sercach naszych.

Strażniczką języka będzie zawsze, choćby podświadomie kobieta. Ona pieści się z dzieckiem, ona wabi ukochanego, ona uczy modlitwy, ona jest ogniska domowego kapłanką. Chociaż lubi kobieta wyrazy zdrobniałe, lubi pieszczotliwie mówić w chwili, gdy serce przemawia przez nią, kocha silnie i miłością nakazuje szacunek dla tego, co i jak mówi. To kraj nasz lat dziecinnych i echo kołycki.

Prawda, kobieta psuje mowę dziecka pieszczotami, ale kochamy słówka, kończące się na „eńko” lub „utko”. Jajeczko, chlebuś, kielbaska, pomidórek, koszulina, mamusiny, tatusiny — istna armja deminutiwów, ale to wszystko drogie, kochane, miłe, swojskie.

Nie tyle gra słów, ile cudna baśń o kolorowych tęczach.

Dziedzictwo dziadów i pradziadów nakazuje pielęgnować i przekazywać to, co jest częścią naszego „ja”. Język odebrać macierzysty, to tyle co zerwać kit, łączący ludzi, język jest rzeczą wspólną, drogą i świętą. Kto kocha siebie, swoje najbliższe uczucie dla domu, rodzica, kołycki, pacierza, zabawek, niani — ten kocha i język, w którym zaczął się porozumiewać z najbliższem otoczeniem. Ale nie można i nie wolno ludzić się, że co raz moje, na zawsze tego nie należy tykać, przewietrzać, słowem — higienizować!.. Nie.

I miłość do swego, macierzystego języka winna posiadać także granice przyzwoitości. Nie należy być bezkrytycznie zakochanym. Całe życie należy siebie dobrowolnie sprawdzać, rewidować.

Mądrze mówi profesor krakowskiego uniwersytetu, Rozwadowski — w przemowie do czytelnika: „Przywiązanie do mowy rodzinnej mieści się tedy w miłości ojczyzny, jest jej częścią składową i jako takie jest słuszne, dobre i piękne. Ale miłość może być głupia, chora i niedołęzna; trzeba zaś aby była rozumna zdrowa i silna“.

Chcąc kochać, trzeba rozumieć, dlatego Orzeszkowa pisała słusznie: cogito et amo — ergo sum.

A teraz posłuchajmy głosu dziejów. Co nasi miłośnicy mowy ojczystej sądzili o lenistwie źle kochających język polski. Słowa Górnickiego z 16 wieku: „Nasz Polak, by jedno kęs z domu wyjechał, wnet nie chce inaczej mówić, jedno tym językiem, gdzie troszkę zamieszkał, jeśli był we Włoszech, to za każdym razem „signor“, jeśli był we Francji, to „par ma foi“, jeśli w Hiszpanji to „nos otros egnaglieros“, a czasem drugi, chociaż nie będzie w Czechach, jedno iż granicę przejdzie, to już inaczej nie będzie chciał mówić, jedno po czesku, a czeszczyzna wie to Bóg jaka to będzie, a jeśli mu rzeczesz, żeby swym językiem mówił, to powiada, że zapomniał, abo, że mu się przyrodzony język prawdziwie gruby widzi“...

Uderzmy się w piersi, czy wszyscy Polacy w Rosji mówili po polsku w domu, czy na t. zw. kresach, w ziemiach zabranych dbano o mowę praojców.

Jedynie może żarliwy gdzieś tam ukryty męczennik cichy, patrijota brał nauczycielkę z Warszawy do swych dzieci, bo reszta zadowolnić się umiała rosyjską nianią.

A przecież z językiem łączy się przynależność kulturalna. Co kto woli Wschód czy Zachód, Bizancjum czy Rzym, dzwon, który dźwięczy dla ucha naszego metalem, czy kołokoł z drewnianą kołatką. To różnica nie słów, nie szczególnie słownikowy, ale spór dwóch kultur: Mieszka I i Włodzimierza Św.

Na zakończenie posłuchajmy głosu z 18 wieku, z Wilna profesora uniwersytetu Stefana Batorego:

„Język nie jest strojem kobiecym, na dziwactwa mody wystawianym, któryby wolno było giąć, wykręcać i przerabiać, żeby go potem porzucić i zaniechać.

Język jest wskazówką stopnia, do którego przyszedł Naród w cywilizacji i oświeceniu. Jeżeli język jest ciemny i nieokrzesany,

ubogi w wyrazy na znaczenie rzeczy, myśli i namiętności, w rozmaitych ich cieniach, przemianach i stopniach... naród nie wyszedł jeszcze z dziczyzny, ani do rzędu oświeconych i ucywilizowanych ludów nie ma prawa należeć. My Polacy na cóż się chlubimy wiekami Zygmunta i Stanisława Augusta?...

(Jan Śniadecki). (Redakcja).

## M y ś l

(z cyklu „Listki jesienne“).

Strugami myśli sączy się smutek zwątpienia  
i żalem rozplówienia szare nocne, chwile.  
Strugami myśli kreślę czarowne dążeń  
i wołam niemyym głosem w bezkresne obszary.

Na fali wspomnień tęczy się łuna pożaru,  
zjawia jakiejś minionej, ze snów zawieruchy.  
Na fali się kryształy domek mego życia,  
mały, jak moje szczęście, jako ja sam kruchy.

W blasku skierek zapału wiruje uczucie  
i białemi skrzydłami, jak gołąb trzepoce.  
Nikt go nie widzi choć on w ptasim rzucie  
pruje fale powietrza, wirując nad światem.

Spowiada się przed sobą myśl moja zwątlona  
i, w sztuce mając jeno ślepa Powiernicę  
woła w murach pokoju z tęsknotą: to Ona...  
Nikt tego nie zrozumie, choćbym krzyczał wiernie  
— — Nikt mnie nie słucha.

Na wieży, tam wysoko, gdzie zegar wybija  
z szarą monotonością bezmyślne godziny —  
oplata warkoczami myśli jakiś potwór, żmija  
i jadem truje w czaszce myślenia godziny  
— — Czuję tę żmiję.

Samotny wątpię. Myśli rzucone na papier  
Wszystko na nic. Noc trwa.  
Zegar już zmiłknął — ja zapalam świecę.

Sam piszę!

J. Ks.

# Wieczór wigilijny

(Widziadła).

Śnieżycą. Po drogach i rozstajach niósł złowróżbny wicher tumany srebrnego śniegu. Wokół wszystko się kręciło, wirowało w piekielnym tańcu zamieci. Bolesny mróz wżerał się w kości, dręcząc zmysły. Zimno. Zdawało się, że zawierucha cichnie, lecz harce śnieżnych duchów nie mijały. Jeszcze kurzawa białych ptaków, jeszcze świst, jeszcze widzę walające się na rozdrożach trupy, powalonych gigantów idących w bój, na śmierć. Śnieżycą zawładnęła polami, dumna, silna, mocarna. A życie cofnęło się przed białym rydwanem Zdobywcy. Patrz, tu królestwo zimy, kościstej, trupiej grabarki, co idzie przygarbiona do sadyb ludzkich, chude nogi wlokąc za sobą. Wzdrygnąłem się, poczułem zaduch trupi, idący przez pola. Stałem.

Dzisiaj jakiś dziwny, tajemniczy, święty wieczór wigilijny...

Zasiedli do stołu, uroczyście dzielili się opłatkiem, łza zaszkliła się w smutnych, wynędzniałych oczach, niejeden westchnął. Jenó ciska za oknem przycupła, jak strach, mrużąc lekliwie powiekami. Czuję ją, o, tam, nerwami. Przysypana śniegiem skuczy, jak bezdomny pies.

Po cichej, pełnej powagi wieczerzy wigilijnej poczęli się zwolna rozchodzić. Patrzyłem na otuloną szalem srebrnowłosa babunię. Janek i Zosia z rodzicami ruszyli do salonu, gdzie migotały światełka wielobarwne. Choinka! Uczucie radości rozchyliło me wargi—wpatrzony stałem, niemy...

Obeszli choinkę jak mary senne, wiedzione ręką Anioła. Zajęły swe miejsca milcząco. Zaduma opanowała myśli. Widziałem ich skamieniałe twarze.

Czyby przeczuwali, że babunia ma sen, krwawy sen przeszłości? Ściągnę drgnęły na pomarszczonej twarzy sędziwej staruszki. Sama ona ze swemi krwawymi wizjami z lat niewoli, wokół grupka ludzi wylekłych.

Biedna starowina siedziała z utkwionym wzrokiem w szronem pokryte szyby.

A w czerni nocnej, w przestrzeni śnieżycą obielonej włóczył się okrwawiony duch rannego chłopaka. Jak upiór jawił się w oknie i szeptał drżącymi wargami: «Pomszczę ojca swego, tak mi dopomóż Bóg!

Słowa przysięgi uwieźły w gardle babuni.

— Opowiedz nam, babciu, coś ładnego—wołały wnuczeta. — Babuniu, słuchamy!

Wizja przywołana raz, stanęła przed choinką, jak mara wyrosła z pod ziemi. Drgnąłem wpatrzony w trzesącą się postać staruszki. Miała łzy, łzy biednej matki. Babunia wsparłszy brodę na dłoni, poczęła przyciszonym głosem szeptać:

— Dzieci, to on, Janek, tu, tu... stanął przedemną, jak wtedy, gdy była noc wigilijna. Widzieć go, dotykam jego ran, jego munduru, czuję zimną dubeltówkę i... na ramieniu krew...

Rumieńce wystąpiły na kościste policzki staruszki, oczy nabrały niesamowitego blasku, kolana jej drżeć przestały.

— Babuniu, co ci jest babuniu, mów—wołały dzieci, a ja przechyliłem się i ujrzałem cień na podłodze. Niby ślady krwi brojącego człowieka zbliżały się do nas. Uderzenie kolbą usłyszałem. Dzieci zaszlochaly.

Zapanowała grobowa cisza. Jakby groby się roztworzyły i trup po trupie wypełzał z przysypanej ziemi. I szli bohaterowie, co ginęli w ciemnych borach. Szli tak szeregiem, jeden po drugim, okrwawieni, owaleni gliną i błotem. Szkielety ich kołysały się na biodrach, trud znaczył ich chód ociążały. Ginał po nich ślad w przestrzeni. A dalej mundury wrogich sługusów tyrana na białym Kremlu. A dalej... sanki i ten okrutny brzęk dzwonek i żandarm, wypychający przemocą schwytyanych aresztantów.

I podmuch Sybiru.

Wiatr zawył na polach. Za oknami posypały się znowu płaty, przewalającego wichrem śniegu.

Babunię ujrzałem w tęczy światła. Jak święta w blasku aureoli siedziała wśród nas—pół żywa.

Krwawy sen mijał, korowód zamykał Janek, który poszedł mścić się, za krew ojca hojnie szafował swą krwią młodzieńca.

Uciekł z ławy szkolnej, bo gnał go obowiązek święty, tam w przepaść... w nicość.

Jakaś siła rządziła jego sercem, Tęsknica wiodła w lasy, znaczone krwią. Tylko wycie psa znaczyło ślad trupi, wydeptany nogą bohatera.

Za oknami hulał wiatr, światła zwolna gasły, choinka zapadała w sen anielski. Za oknami zegar na wieży wybijał monotennie północ. Na pasterkę zaś ciągnęły zastępy wiernych. Może z żywymi poszedł i Janek, co chciał pomścić ojca śmierć, a może tam spotka ojca—bohatera? Może, babuniu?... Może przyszli po ciebie, babuniu?

— Babuniu — zaszczębiotały wnuczka, szarpiać na śpiącej ubranie.

— Babuniu, kończ swój sen! Ba... bu... niu...

Lecz ona już tych głosów nie mogła usłyszeć więcej, bo kościana śmierć, co szła wraz z śnieżycą przez pola zdławiła ręką zimną życie gasnące.

Odszedłem. Stałem za oknem i przez szyby szeptałem do wnętrza pokoju:

— Babuniu. Śpij, dobra Babuniu i śnij o swym ukochanym Janku.

Sen minął. Przetarłem powieki i ujrzałem przed sobą postać leśniczego. Mieliśmy iść z Jankową strzelbą na polowanie.

— Tak, to ten sam człowiek, który znalazł wuja mego z przebitą głową od żołdackiej kuli w tuszyńskim lesie. Ten sam, poczciwy pan Antoni.

— Idźmy!—zakomenderował leśniczy.

Wyszliśmy z pokoju, w którym tak dziwny sen mnie nawiedził.

*Pietruszewski Paweł, kl. VII.*



# Moc nieznana

(c. d.)

## Rozdział V.

Nazajutrz matka poczuła się lepiej. Przez kilka następnych dni krzątała się nawet żwawo po pokoju ku wielkiej radości syna. Oczywiście, w tych warunkach nie mogło być mowy o chodzeniu do Uniwersytetu, zaledwie mógł Witold wyjść na lekcje na miasto, pozatem przebywał w domu. Pewnego dnia Witold przyszedłszy z miasta zastał matkę leżącą na łóżku ze słabemi oznakami życia. Kazała mu uklęknąć i przeżegnała go. Chciała coś mówić, ale nie mogła, tylko łyzy serdeczne kochającej matki zaszkliły się pod opadającemi powiekami. Zanim lekarz przybył, już Anna Wędrowska nie żyła. Rozpacz Witolda była straszna. Pocałował matkę na cmentarzu św. Jana w X. Został teraz sam. Popadł w odrętwienie. Uczyć się już nie mógł. Choćby ktoś z rodziny matki, na kogo mógłby spojrzeć i chociaż w odbiciu ujrzyć te głęboko patrzące i rozumne, a tak nieszczęśliwe oczy ukochanej matusi, która tyle dłań wycierpiała!..

Nie mógł wytrzymać na obczyźnie. Tęsknota do kraju, do kraju, dokąd sprowadzić przecież musi zwłoki Tej świętej dłań osoby, która zresztą obczyznę, choćby najpiękniejszą, uważała za tymczasowość, pożerała go bezustannie. Wreszcie spakował swoje nie-liczne manatki i tą samą, co przybył drogą, odjechał do kraju.

Och ile tu serdecznych łez zostawił teraz za sobą!..

## Rozdział VI.

W Warszawie zajechał do swego dawnego kolegi, który przyjął go niezwykle serdecznie, współczując szczerze cierpieniu. Tego samego dnia, nie bacząc na prośby kolegi, by choć kilka dni u niego pozostał, odjechał Witold pociągiem nocnym do Międzyrzecza, zdecydowawszy się udać do wuja Komorowskiego z prośbą o pomoc w sprowadzeniu zwłok drogiej Matki do kraju, za którym tak tęskniła. Och, ile walki stoczyć musiał ze sobą, by wbrew wszystkiemu, co przeciw tej decyzji przemawiało, odważyć się na udanie się do Komorowa!.. Wszak wiedział o wszystkim. Wiedział że cała rodzina Komorowskich wyparła się matki jego, wiedział że wykleto ją z domu, wiedział, że unikano ze wstretiem imienia jej w Komorowie od lat dzieciństwa, wiedział o wszystkim!.. Żył się nieraz na wspomnienie tego przekleństwa rodzinnego. A może to dlatego takie ich ciosy smagały?! O, nie! Bo i zacóż?! Matka dłań była uosobieniem prawości i świętości. Więc dlaczego? dlaczego?! Ale to nie! On pojedzie teraz, teraz wypowie wszystko, niech wie cała rodzina Komorowskich, kim byli dłań Matka i Ojciec! Pojedzie!..

I oto jest na stacji kolejowej w Międzyrzeczu.

## Rozdział VII.

Witold przeszedł się kilkakrotnie po peronie, rozejrzał w okolicy i spytał robotnika kolejowego o Zahajki. Ten wskazał mu drogę wśród kartofli wiodącą z prawej strony toru kolejowego. Wędrowski minął tor i poszedł drogą wskazaną. Słońce już wzniosło się ponad horyzont i wyczekująco przyglądało idącemu, jak-gdyby pytając:

— A długo to potrafisz tak iść paniczu?! Jakoż Witold musiał zdjąć płaszcz i przerzucił go przez plecy. Zapowiadał się upalny dzień.

— Daleko do Zahajek? — zapytał pastucha siedzącego na łące.

— A wiorst pięć, panoczku, będzie.

To «panoczku», uderzyło Witolda intrygująco. Przypomniał jednak sobie, że okolice te zamieszkuje dawni unicy, których moskale starali się zrusyfikować i gwałtem jako swych współwyznawców na listę swoich wpisali. Toć przecież niedaleko stąd znajduje się słynny Drelów, gdzie ongiś żołdacy moskiewscy strzelali do opornych unitów, chroniących się pod swą cerkiew miejscową. Tę walkę z unitami podlaskimi opisał przejrzyście Władysław Reymont.

Zahajki — wieś nie różniąca się od tylu innych wsi na Podlasiu. Marna, piaszczysta wioszczyzna, jednak z urzędem gminnym, chyba dlatego, że blisko miasta. Wszystkich chat może dwadzieścia. Gdyby mu ów znajomy w Warszawie nie wymienił tej wsi, to nie zwróciłby nawet na nią uwagi i nie wiedziałby że wogóle jakieś istnieją Zahajki. Tu odpoczął chwilę i poszedł dalej. Jakoż niebawem stanął w Drelowie, o pięć wiorst odległym od Zahajek. Brudna niewielka osada z małą na niebiesko malowaną drewnianą cerkiewką po dawnych unickich wyznawcach pozostała. Tu właśnie rozegrała się przed laty owa bratobójcza walka wyznaniowa. Przypomniał nawet sobie, że gdzieś oglądał obrazek, przedstawiający tę walkę, epizod uchwycony przez jakiegoś nieznanego artystę. Brudne i wychudłe dzieci w zgrzebnych koszulach bawiły się na dworze. Gdzieniedzie ktoś wyjrzał przez okno lub wyszedł na drogę, bacznie i nieufnie przyglądając mu się zdaleka. Chaty stare, podniszczone, gdzieniedzie spaleniska po pożarze. Biedna i niemła na pierwszy rzut oka czyniąca wrażenie osada.

Po przejściu jeszcze kilku kilometrów uczuł się bardzo zmęczony. Pozostawała mniejwięcej połowa jeszcze drogi do Komorowa. Wszedł do przydrożnego lasu i rozłożył się w cieniu kilku większych drzew.

C. d. n.

W. P.



## Nie-Bajka.

Grudniowy wieczór... Na ulicach ciemno i pusto, tylko wiatr wędruje. Zagląda do okien kominów. Gwarzy z nagimi gałązkami drzew. Gaduła — przewędrował świat cały, dużo widział, dużo słyszał i opowiadać o tych dziwach lubi. Do mnie też kiedyś przyszedł. Siedziałam sama, a tu coś szur... szur... za oknem. Nadsłuchuję. Czyżby kto teraz po nocy chodził? Ej, chyba nie? Ale znowu słyszę... szur... szur... Podchodzę do okna, patrzę, a to wietrzyk kochany «A gdzieś ty był, skąd tak późno wracasz?» Speszyło się kochane «wietrzyśko» i dalejze przepraszać i błagać, bym go do komina wpuściła, to wszystko dokładnie opowie.

«A, no to włącz» — powiadam. Kiedy się wietrzyk wygodnie umieścił, zaczął swoje opowiadanie, które teraz wam powtórzę. — «Znudziło mi się — powiada — wiecznie w Dziśnie siedzieć, więc któregoś dnia postanowiłem wyruszyć w świat. A było to dość dawno. Już dużo lat minęło od tej chwili. Wykąpałem się rano na pożegnanie w falach Dźwiny, zatrzepotałem smutnie chorągwią na strażnicy i już mnie tu nie było. Leciałem prędko, wyminałem autobus, jadący do Głębokiego. Tam się nie zatrzymywałem, bo to takie znane! Potem przelatywałem nad cudnymi pagórkami, rozciągniętymi nad wilją, zaszumiałem w dzwonnicy katedralnej, rozkołysałem dzwon, wzywający ludzi na nabożeństwo i ruszyłem dalej. Teraz przedemną rozciągały się równiny. Jak okiem sięgnąć równina... Przepasywała ją cudna wstęga Wisły. Za chwilę już byłem w Warszawie. Oj babciu — powiada wietrzyk — chyba sobie nie wyobrazisz co to za olbrzym — Warszawa. Ja, jako wietrzyk wysoko wbiłem się pod chmury, bo wiadomo, że im wyżej, tem dalej okiem sięgnąć można i widzieć — cały kraj. Dachy a dachy domów... Gdziekolwiek kominy fabryk. Na ulicy ruch. tramwaje, samochody, autobusy. Ludzie dokądś śpieszą. Jedni do biur, inni do fabryk. Odwiedziłem przy sposobności Łazienki króla Stasia, pobawiłem się z dziećmi w Saskim ogrodzie, aż zmęczony wiecznym ruchem, owiany dymem fabryk, postanowiłem poszukać zacisznego miejsca. Chwilę zastanowiłem się dokąd mam lecieć, bo dalej strony już obce. Wybrałem ostatecznie kierunek północny, bo wietrzyki zwykle północ bardziej lubią. Minawszy równiny podwarszawskie, przepływałem nad cudnymi jeziorami. Nie zdążyłem się im dobrze przyjrzeć, gdy doleciał mnie przeciągły szum. Pomyślałem, że to są moi bracia, może tu się zgromadzili i tak sobie gwarzą. Rozglądam się nikogo dojrzeć nie mogę. Płynę dalej — szum się wznaga. Spojrzę w dół, a tu podemną fale i fale cudne wyłancane słońcem. To się srebrzą, to kładą się szafirowymi smugami. Morze... Dużo o niem słyszałem od mego wuja Huraganu i od cioci Wichury. Ucieszyłem się, że je teraz sam widzę. Spłynąłem nisko nad fale, aby się z falami przywitać. Musnąłem wodę. Rozochocona fala pobiegła za mną. Tańczyliśmy wesoło. Wkrótce do naszej zabawy przyłączyły się białoskrzydłe mewy. Zabawa nasza, ciągnęła się może długo, w nieskończoność, gdyby nie pani Cisza, która

nas uspokoiła, gdyż za chwilę nad brzegiem morza, miała się odbyć wielka uroczystość. Jaka, nie wiedzieliśmy. Zaciekawieni skierowaliśmy się w stronę brzegu. Stały tam szeregi błękitnych polskich rycerzy, naprzeciw nich marynarze w swych granatowych bluzach. Był między nimi błękitny generał, wjechał na koniu w mętną wodę morza. Plusnęły wesoło fale na powitanie bohatera, a potem legły cicho, czekając na dar polski. A rycerz wyjął złoty pierścień i rzucił w morze... Fale rozstąpiły się, otworzyły wejście do swoich pałaców. Przyjęły symbol zaślubin ludu z morzem. Fale ukryły pierścień zazdrośnie.»

Skończył wietrzyk swą opowieść. A ja długo siedziałam zamysłona. W sercu czułam dziwną radość i moc.

Wnuczko ukochana, kończyła bajeczkę babunia, wpatrzona w dogasający ogień na kominku, to nasza Dzisienka tak pięknie grwarzy o wichrach i o zaklętych nad morzem rycerzach, a ja tylko wnuczuni powtarzam...

Ostatnie promienie zachodzącego słońca oblały bladą twarz babuni.

Zarumieniła się staruszka, zdało mi się, że serce zamierające przyspieszyło rytm pulsu. Wizja błękitnego rycerza ożyła i stała się czarowną jawą dla sędziwej Polki.



## Wszechświat

*Wspaniałe dzieło, wielkie! Zachwyt czujesz w łonie,  
Gdy w nocy nad twą głową całe niebo płonie  
Gdyby nie istniał w sercu niemniej też wspaniały*

*wszechświat?*

*Gdyby w nim nie płonął również jasne światy  
I nie szumiało zboże i nie rosły kwiaty?*

*Kto szuka szczęścia, niech pomni, że masz serce w sobie,  
W niem rośnie, kwitnie, śpiewa, płonie w każdej dobie —*

*wszechświat.*

*Roland.*



# RYBAK

(Nowela).

Dziwny był ten stary Eljasz. Od młodych lat coś go ciągnęło do łodzi i sieci nieraz całemi dniami w towarzystwie, milczącego ojca z zapartym oddechem obserwował pracę rybaka... wybierał z niewymowną radością czerwonoskrzela — okonie lub połyskujące szczupaki i rzucał je do skrzyni. Był szczęśliwy, gdy rybacy kończyli połów; wtenczas przybijał on starą, długą łodzią do brzegów, zarosłych trzcinami lub sitowiem i tutaj rybak kazał synowi dźwigać do domu cały plon pracy dziennej. Wieczorami... kiedy wszystko cichło, jezioro stało niby tafla szklana, nad niem ciągnęły to tu, to tam czajki krzykliwe, od czasu do czasu dał się słyszeć donośny głos kaczki dzikiej... i znowu wszystko cichło... zasypiało... Ze słomą, palącą się w garści świecił zgarbionemu ojcu przy połowie raków. Nieraz z jego piersi wyrывał się krzyk na widok uciekającego lub niespostrzeżonego raka, albo nawet długowatego miętusa. Wtedy ojciec flegmatycznie jednym «uspokój się» gasił wybuch szczęścia chłopca. Przez obcowanie z ojcem mrukiem—stał się sam milczący. Przymycał się do starej łodzi, do pluskania wiosel w wodzie, do szumu jeziora, do krzyku kaczek do ciągłego zwijania i rozwijania sieci i pokochał to wszystko swem prostaczem sercem. Nieraz złapaną wielką rybę brał do rąk, przyciskał do piersi, mówił do niej i w wielkiem upojeniu wypuszczał z rąk—do wody. Wtedy, ojciec wiosłem stuknął, wycedził swe niezadowolenie i markotny wracał do swojej czynności. Pewnej nocy powstał wiatr straszny i burzył jezioro do dna. Stary rybak z synem powracał z połowu. Całe niebo pokryło się chmurami; wschodząca zorza znikła. W jednej koszuli pracował stary przy wiosłach, chcąc jaknajprędzej przybić do brzegu. Po chwili przestraszony chłopak zawołał: «Tato już brzeg». Wjeżdżali w sitowie, gdzie burza zdawała się cichnąć i zaraz łódź ugrzęzła na mieliźnie. Wciągnął rybak łódź na brzeg, zabrano połów dzisiejszy i w milczeniu razem ojciec z synem ruszył do domu. Wiatr zimny, jesienny, był nielitościwy, owiewał spocone ciało starego rybaka. Chłód przejmował go do szpiku kości. Trzęsło nim i sam nie wiedział co mu jest. Przeształ część nocy jakotako, nadszedł cichy pogodny dzień.

Zerwał się z posłania Eljasz, chwycił torbę rybacką, wziął kilka kawałków chleba i wymknął się cichaczem z zadowoleniem do łodzi. Dziś Eljasz dumny. Sam jest władcą długiej, szerniejszej, starej łodzi, sam wiosłami kieruje ją, sam zarzuca nawet sieci przy brzegu i ciągnie je, pomimo to nie wie dzie się. Złapał parę małych płotek, a taki ma apetyt na wielkie szczupaki! Wieczorem zabrał torbę z rybami i kroczy do chałupy z radością, uważa siebie już za wielkiego, za dojrzałego parobka, który służy u gospodarza Jana. Kiedy wchodził do wsi naumyślnie głowę zadzierał do góry, przesunął czapkę w tył, bo chciał dzisiaj wszystkim pokazać, że on sam był na jeziorze, i że pracował. Myśli sobie, że ojciec i matka będą

zadowoleni, że ojciec może nawet mu odda ten kawał starej sieci, w której matka na słońcu ser suszy. Był dumny. Kiedy zobaczył Magdę z nosidłami, nie spojrzął na nią, mimo, że Magda raz wołała: «Eljaszu ciebie matka szukała, coś tam...?» On nic, ani słowa, bo jakże, on, gospodarz prawowity ma rozmawiać ze zwykłą służącą Magdą. Nigdy. Ruszył szybko naprzód, nie uchodziło na dziś ciągnąć powoli, jako gospodarzowi łodzi i sieci, on nie Jankiel Rudy, co na chudej kobylicy rozwozi czarną smołę w beczkach. Lecąc koło okien swojej chałupy, zobaczył jakieś dziwne światło... wiele ogników. Otwiera drzwi w sieniach, a tu stoi kilka kobiet w kupie.

— Nicponiu!—mruczy grobowo Weronika—ty biegasz, a ojciec już na tamtym świecie, poczekaj dostaniesz ty od matki.

On nie słuchał, lecz drżący wbiegł do izby. Zobaczył: na ławie leżał blady z zamkniętymi oczyma jego ojciec, naokoło stały rzędy gromnic i płonęły cicho, dziwnie. Nie rozumiał tego wszystkiego, jakto jego ojciec wszechwładny, co burzy dał radę, chwycił ryby, co kierował łodzią, co krzyczał na niego, miał umrzeć.

Cóż znaczy śmierć, — to kłamstwo. Ojciec po dniu znojnym źle spał—więc teraz chce się wyspać, bo zamknął powieki.

Ale dlaczego gromnice płoną, to nie burza gromowa... Nie mógł pojąć tego, że jego wszechwładny ojciec nie żyje! Podszedł do trupa, dotknął się zimnych rąk, splecionych na piersiach, wstrząsnął ciałem—i—wtedy w jego umyśle poczęło coś krażyć, wjrować...

Głos wewnętrzny zaśmiał się drwiąco z głupiego chłopca. Hi, hi! Nie masz ojca!

## II.

Marzenia spełniły się—został gospodarzem łodzi i sieci. Teraz powoli, jak ojciec jeździł po jeziorze, łapał ryby, wieczorami z ogniem wyruszał na raki. Nic nie trzeba było, oprócz małego kawałka chleba i słoniny w torbie.

C. d. n.

*Piotr Pupin.*



## Narodziny natchnienia w Polsce wyzwala- jącej się (1914—1918).

(c. d.)

### I.

Od roku 1795 do roku 1918 Polska była ustawicznie tematem politycznym na arenie międzynarodowej. Działo się to przy współudziale samego narodu. Szło to albo drogą zabiegów dyplomatycznych, albo przy pomocy oręża, albo przy pomocy literatury i sztuki.

Polacy odepchnięci od urzędów, szkolnictwa, wojskowości na ziemiach „zabranych“ (Słabym wyjątkiem Małopolska), musieli z ko-

nieczności szukać pracy za granicami Polski przedrozbiorowej, w granicach lub sferze działania trzech zaborców (np. w głębi Rosji europejskiej lub azjatyckiej). Wreszcie, Ameryka, Francja lub Południe.

W ten sposób życie zbiorowe miało charakter prywatny, rozwijało się jedynie życie domowe, towarzyskie. To było legalne. Albo krzewiło się życie podziemne, spiskowe, a to było nielegalne, więc zabronione i prześladowane. Ale i tu i tam literatura była rynkiem zbytu dla idei, marzenia i talentów zdobnych intelektualnie. Społecznicy i politycy nasi byli dyplomatami do „układów“, albo spiskowcami do „spisków i powstań“, czasem wywrotów i ruchów społecznych. Wiadomo, że anormalne życie niewolnika stwarza anormalne myślenia, niezdrowe marzenia. Wniosek, że i ideologia czasu niewoli miała swe przepaści, zakręty, załamania i wilcze doły wallenradyzmu, kłócącego się z etyką „pokory i miłości bliźniego“. Chociażby przypomnieć rok 1864 i 1905. A masa polskiego społeczeństwa? Ta bierna bezsilna masa, mrowie ludzkiego zero: wiska marnie wegetowała, zupełnie obojętniejąc. Dla nich hasłem było „aby przeżyć“ niewolę w jakiej takiej skali bytowania... Nic dziwnego że tę masę chlebojadów rok 1914 zupełnie niemal zaskoczył. Wyjątek stanowili działacze ideowi, reszta nie marzyła o jakiegokolwiek realizacji „Polski wyzwalającej się“.

Lud był pod czarem modlitwy i dewocji a kościół — ucieczką grzesznych i zapominających o nędzy i brutalnej rzeczywistości. Mieszczanie byli pod narkozą oszczędności purytanizmu i lojalności. Górne sfery zaś pod narkozą literatury, swojszczyzny na zbiorowych ređutach, polowaniach, herbatkach i wyjazdach na „jasny brzeg“. Magnaci byli raczej cudzoziemcami w swej własnej ojczyźnie, uprawiając nadal w salonach język francuski lub angielski.

Apatja i egoizm wszędzie górowały, a rok 1863 był upiorem i zmorą, Sybir — panicznym lękiem, a rok 1905 synonimem przysłówia, że zamiast na kata poszedł „brat na brata“. Poeta polski, Adam Asnyk, wołał głosem powstańca: „Póki w narodzie myśl swobodna żyje—wola i godność i męstwo człowiecze — Póki sam w ręce nie odda się czyje — I praw się swoich do życia nie zrzecze — To ani łańcuch, co ścisza mu szyję — Ani utkwione w jego piersiach miecze — Ani go przemoc żadna nie zabije“...

I stało się, że w roku 1914 młodzież często wbrew woli „starych“ na kilkanaście godzin przed wypowiedzeniem wojny Rosji przez Austrię, rankiem 6 sierpnia przekroczyła słupy zaboru rosyjskiego. A krok za krokiem szła za nimi „kuma—troska“ literatura wojenna Polski wyzwalającej się.

O reprezentantach i kierunkach piśmiennictwa z lat 1914—1918 innym razem pogadamy.

A. B. Cyps.



## Dwa oblicza dramatu.

Wykuty w skale amfiteatr grecki gromadził lud grodu ateńskiego, by przedstawić ciekawym oczom widza misterjum potężne sakralne i wstrząsające Olimpem. I dokonywał się cud samoobjawienia gromadnej mitologii panhelleńskiej muzy. Zywiolowy Ajschylos, klasyczny Sofokles i realny Eurypides wskrzesali cienie ludzkie o tragicznej masce, urastające na koturnach patosu i deklamacji, do wysokości półbogów. A Grekom się wydało, że bogi zeszyli z Olimpu, że bohaterzy wiją się jak Laokon w bólu na jaskrawem polu krwawych bojów z losem przeznaczenia, nemezis, własnego kozirodstwa, powikłań miłości z obowiązkiem, radości i śmierci.

Była to tylko wyobraźnia ludzka, uświęcona wiarą zabobonna, twórczości w ramach trzech jedności, czasu, miejsca i akcji—była w teatrze greckim igraszka losu i wyrocznia delficka, w plastyce marmuru kararyjskiego utrwalona, posępna, prostolinijna, jak wszystko, co helleńskie. Tylko krwi i śmierci na scenie nie było, bo oko wykwintnego estety nie zniosłoby gminnego brutalizmu.

Z upadkiem Hellady znika wzniosłość w teatrze, rodzi się w szopce średniowiecznej, z małym Jezusem, bogobojność. Ze Wschodu idzie oświatło i pada na twarze chudych pustelników, na skrzydła rycerzy błędnych, kochających to co mgliste, niejasne, suchotnicze i alegoryczne. U stóp czarnego Krzyża staje na scenie Dobro i Zło, grzech i cnota, anioł i djabeł, by prawić długie, przewlekłe i bezkrwiste dialogi ze śmiercią i grzesznikiem — pielgrzymem „na tym padole płaczu”. Żak szkolny i braciszek z cechu pasyjnych przedstawień — oto aktor wieków średnich z placu miejskiego, gdzie grano dla tłumu, i gdzie repertuar był podporządkowany kalendarzowi kościelnemu. Na scenie stanęło w łachmanach miłosierdzie, by wyciskać łzy ludzkie z oczu gwiazdy i pieniądze na cele dobroczynne. Na legendę i westchnienia ascetyczne przyszedł czas zapomnienia.

Z grobu zmartwychwstało życie—wzgardzone i opleśniałe ciało i zgwałcona namiętność. Humanizm zadworował z świętoszków i chudogębów. Teatr podzielił ludzi teatru na grających i słuchających; aktor, będący podczłowiekiem, wyprostował grzbiet i zażądał swego paszportu w społeczeństwie. Świat przekroczył zabobon i strach; przestał mówić półgębkiem. Człowiek zdeptał habit, zlekceważył miłość na przywoitą odległość, zaśpiewał hymn na cześć kobiety żywiołu, towarzyszyki łoża i stołu, szalał i hulał w takt pochodu masek karnawału weneckiego. Z szalem namiętności rósł huragan wszechmiłości, wszechradości i wszechmłodości i snu nocy letniej. Zaroilo się od weseliska w teatrze szekspirowskim. Bawiono się jak dzieci, żartowano ustawicznie, pojono się winem Bachusa. Renesans odmłodził twarze, każda dama miała Romea, każdy biegł za Julją. Żył się na łonie przyrody, z Amorem uciekano w lasy ardeńskie, byle uciec przed okiem mnicha, lub starego gaduły. Życie było snem, sen teatrem życia, bajka rzeczy-



wistością, piosnka głosem rozśpiewanej duszy. Od czasu do czasu błazen uderzył laseczką trzpiotów i zadrwił z dobroduszości, czasem piorun ostrzegł, że zło się czai w lesie, dobroczynne znów słońce rozgoniło smutne chmurki żywota.

Teatr w teatrze snuł baśń duszy, a dusza drżała ze wzruszenia w uśpieniu, marząc o królewiczu Amorze. Scena była też zwierciadłem duszy, łapką na myszy i polem szczęścia a pogoni za niem.

Tę filozofję życia w imię miłości rajskiej stworzył „między dekoracjami” genialny Szekspir.

Choć urodna i czarująca Młodość żyła bez troski, uciekając odruchowo od zmarszczek i brodawek staropanińskiej cnoty, głuchej na głos życia i natury, dawno zwiędłej jak zasuszony liść niezapominajki w murach klasztoru, wiek męski i kłęski zbliżał się, by po sielance snu letniego dać wyraz smutnej rzeczywistości „stadła małżeńskiego”. Mąż żonę dusi, choć przyczyną była niepozorna chusteczka, żona namawia męża do zbrodni, dokonanej na królu, choć powodem była iluzoryczna korona, ojciec wypędzony z domu córek, choć mógł być nadal królem włości, gdyby nie dobroduszość starca, syn szuka winowajcy idąc śladem wskazówek ducha—króla, choć nie mógł sam prawdzie w oczy spojrzeć, gdyby nie wędrowni aktorzy — oto przykłady powikłań rodzinnych, splótów tragicznych, wypadków i zdarzeń, w myśl zasady: jak się wam podoba, lub ironji, że wszystko dobre, co się dobrze kończy...

Bo przecież świat jest tylko przedstawieniem, aktorami ludzie, rola teatralna jest rolą życia, a to co się śniło filozofom jest i będzie widziane oczami duszy. Błazen Szekspira przez długość sceny na cyrkowej arenie życia przeciągnął sznur umiaru wypróbowanej namiętności. Kto znalazł się „pod” i kto był „nad” linią nie otrzymał nagrody Willa, bo chorował na niedomiar lub nadmiar namiętności, kłamał w życiu i w czynach. Chorował jak Ofelja, kłamał jak Polonjusz, aż śmierć zgładziła ich kosą w obliczu prawdy. Surowy pogląd na istotę czynu pochodził w teatrze Szekspira stąd, że reformacja otworzyła oczy poecie na „odpowiedzialność w sumieniu”—przed sobą i bogiem prawdy. Fabuła i charakter, to tylko dekoracje w sztuce życia, to wina i kara, choć na pograniczu stoi tam zawsze logika i mądrość życiowa. Ta sprężyna życia, sztuka podboju i sztuka pływania na morzach świata wynikała nie z duszy reformacji, ale rasy anglosasa.

Szekspir ma angielski punkt widzenia. Jest spostrzegaczem słabych stron fałszywych sytuacji w życiu, nie jest bezdusznym pedantem, na bystrość i pomysłowość, wyśpiarski wgląd w życie drugich na kontynencie. Odosobnienie geograficzne wpłynęło na perspektywę psychiczną, a sława Albionu rzuciła zasłonę na własną osobowość, dając nam sfinksowość i sto furtek dla pocących się nadaremnie komentatorów twórcy „Hamleta”.

Genialność Szekspira kryje w sobie złożoność inteligencji, na którą złożył się człowiek—samouk i cygan hulanki nocnych, a nadto zręczny dworak chlubnej epoki elżbietańskiej. Te trzy ob-

licza kryje w sobie i Hamlet: liryczny sceptyk-kuglarz w udanym szaleństwie kochanka, przyjaciela i szpiega.

I to nam tłumaczy ową różnorodność, jaką się widzi w szkole, wytworzonej z biegiem lat przez Szekspira. Słowacki raczej widział w twórczości Willa liryka znudzonego à la Byron, Korzeniowski i Szujski — sceptyka drwiącego à la Hugo z błyszczących nędzarzy, rozkopujących na cmentarzu własnej wielkości trupie czaszki z grymasem „marność nad marnościami”. Wyśpiański zaś upatrywał w Szekspirze i Hamlecie dedektywa teatru, publiczności i kuglarza, który fachowo umie nastawić łapki na myszy i łowców cudzej korony.

Nic dziwnego, że pamflet Greene nieco do nas po tylu wiekach mówi, gdy się myśli o tych, którzy żyli współcześnie z Szekspirem.

„Gen. Gawron samozwańczy, przybrany w cudze piórka, z sercem tygrysa, w skórze komedjanta, przypuszcza, że jest najlepszym między poetami w sztuce bombastycznego wydymania białego wiersza”.

Choć złośliwie nazwali współcześni Szekspira trzęsiscenkiem, choć nie raczył dyrektor teatru „Róża” umieścić Willa na liście aktorów i dramaturgów, faktem jest, że styl barokowy wypaczał myśli, styl i uczucia, kładł maskę na duszę artystów, stał między sumieniem a inteligencją człowieka.

Zbyt hałaśliwie zachowywał się Szekspir z towarzyszami w gospodzie „Pod Syreną”, żeby współcześni nie pamiętali tego, zbyt namiętnie łotrzykowali i łobuzowali robotnicy w dokach i marynarze wraz z aktorami, żeby nie mieć tych ludzi w podejrzeniu, zbyt często mieli do czynienia z władzami bezpieczeństwa publicznego. Ponoć i królowa Elżbieta... ale nie myślimy sceptycznie o tej królowej — dziewicy, na ironję losu zdanej moralności w koronie, skoro moda, ta wszechmonarchini, nakazywała stroje bardzo wyuzdane, wyrafinowane, peruki i szminki osób z półświatka. (Przypomnijmy sobie zdziczenie saskie i naszą literaturę luźnie idącą z moralnością np. choćby Morsztyn.)

Przez usta Spodka mówi sam Szekspir z hultajskim dowcipem: „O sobie nie rzeknę ani słowa. Wszystko co wam powiem, jest to, że książę już zjadł obiad. Pozbierajcie wasze ubiory, przymocujcie mocne tasiemki do bród waszych, nowe wstążeczki do trzewików. Przybądźcie niebawem do pałacu. Niech każdy rzuci raz jeszcze na swą rolę. Bo krótko długo mówiąc, nasza sztuka została przyjęta. Na wszelki wypadek, niech Tyrbe ma czystą bieliznę, a ten co ma lwa odegrać niech nie obcina paznokci, gdyż one wisieć powinny, jak lwie pazury. A przytem najdrożsi aktorowie, nie jeść ani cebuli, ani czosnku, bo należy wam mieć słodki oddech, a wtedy nie wątpię, iż usłyszę, jak oni będą mówili: „Cóż to za słodka komedja! Ani słowa więcej, ruszajcie, ruszajcie”.

Takich słówek na marginesie życia moc u Szekspira. Wynika to z osobowości autora, z temperamentu, który nie potrafi utrzymać na scenie „serjo” dialogu, żeby nie parsknąć śmiechem. Więc

i blazen jego nie byłby tak wiele mówiącym, gdyby na budce suflera nie siedział on sam Will, i nie gwałzył z publicznością.

W tem także leży wielki talent pisarza, nie nudzi patosem, nie straszy łzami i śmiercią, ale po dniu pracy chce pożartować; po dobrze napisanej scenie uśmiecha się autor, by po wypoczynku dalej pisać „genjalnie” i życiowo.

A że znał życie i wszelkie jego szczegóły — to zawdzięczał Szekspir i bystrości oka i bujności przeżyć ludzi z epoki elżbietańskiej.

*Teatroman.*



## Wilja Bożego Narodzenia.

(Obrazki obrzędów i zwyczajów).

Boże Narodzenie jest najradośniejszem świętem. Rodzi się bowiem Mesjasz — Zbawiciel. Na ten dzień uroczysty wkraczają triumfalnie odświętne zwyczaje ludowe—tradycje. Wilja jest czemś dla nas uroczystem, wielkiem. Czemś bardzo świętem, szczególnie na wsi. Wilję nazywają powszechnie u nas «kucją». To wielka dla ludu chwila!.. W ten dzień przypadają rozmaite znaki cudowne: bydło rozmawia ludzkim głosem, jednak nie wolno wtedy podsłuchiwać, woda zaś zamienia się na chwilę w wino. Tego wieczoru trzeba przygarnąć każdego, a to dowodzi gościnności naszego ludu—i mówi o jego litościwem sercu.

Jednak, pierwsze miejsce zajmują wróżby. Każdy siada, za pojawieniem się pierwszej gwiazdki do stołu, który nakryty jest sianem. Spożywając wieczerzę musi pilnie biesiadnik bączyć by każdy miał swój cień, bo jeżeli go niema, to niedoczeka następnej «kucji».

Po wieczerzy panny i mężatki wyciągają z pod obrusa źdźbła siana i wróżą sobie z tego, jeżeli źdźbło rozdwojone, a jest panną—otrzyma męża, jeżeli jest mężatka będzie miała nowego członka rodziny.

Z cienia spalonego papieru wnioskuja ludzie, co komu przeznaczone. Panny i kawalerowie puszczają na wodę zapalone świece, czyje spotkają się świece—to wnioskuje się, że skojarzy się małżeństwo.

Jeżeli płatki cebuli, leżące w soli będą mokre, to rok będzie dżdżysty — i odwrotnie. Bydło karmi się sianem, leżącym w on wieczór na stole, by zwierzętom też Bóg błogosławił. Nawet pies pomaga wróżbie: panny kładą kawałki chleba, wpuszczają psa, czyj kawałek pierwszy pies pożre, to tę pannę pojma za żonę przed najbliższą kucją. Są jeszcze i inne wróżby. Moc ich. Przy końcu wilji śpiewają wszyscy radosne kolędy. Po wszystkim zmęczeni i senni biesiadnicy—idą spać, by zapomnieć o smutku i nędzy.

*J. Olechno.*

## Lecz my—zmartwychwstaniem.

(Sonet).

*Jak cudnie w słońcu świecą,  
Listki, spadając z drzewa,  
Wiatr je unosi rozwiewa...  
I jako motyle lecą,*

*Barwne, śliczne, purpurowe,  
Aż upadną i uścielą...  
Grób dla siebie martwą ziemią  
I śnić będą sny tęczowe...*

*Oto dotknęły już ziemi,  
Patrz! jak się w błocie tarzają...  
A teraz już będzie z niemi?*

*Na zawsze zginąć mają,  
Usną pod śniegu pościelą...  
Lecz my—my, zmartwychwstaniem!...*

St. Bujnicki.

## KOCHAM JA..!

*Kocham ja morza, lasy, strumyki,  
Kocham ja ładne, ciche gaiki.*

*Kocham ja sady, drzewa i kwiaty,  
Kocham ja łąki, kwiaty i zioła.*

*Kocham ja lasy, paprocie małe,  
Kocham ja ptaki, gołąbki białe.*

*Kocham zwierzęta, zające szare,  
Kocham owady, chrabąszcze małe,*

*Kocham ja wszystkie gwiazdy na niebie,  
Kocham ja wszystko, co jest na świecie.*

*Kocham świat cały: wioski i miasta,  
Kocham ja słońca, promienie jasne.*

S. Borkowska.

## STEP.

Hej! Naprzód sokole  
 W te szerokie stepy,  
 Co niegdyś rozbrzmiewały  
 Dzikich wojen echy.  
 Teraz — cisza zaległa krainę  
 I tylko upiór powstawszy z mogiły  
 Dziko zakrzyknie:  
 Ratujcie bo... ginę!  
 A gdy księżyc przepływa  
 Nad morzem tej trawy,  
 To zawsze ucieka,  
 Gdy ujrzy świt krwawy;  
 Czasem pułacz w nocy  
 Zakrzyknie... i zginie,  
 Gdy upiora ujrzy,  
 W tej dzikiej krainie.

M. Szender (oddział VII).

## HANUSIA

Słonko już wzeszło,  
 Nastal już dzionek  
 Wstań, że Hanusiu!  
 Dzwoni skowronek.  
 Czas! do pracy, czas!  
 Skowronek woła nas.

Wstała Hanusia  
 Żwawa, wesoła,  
 Idzie na pole,  
 Śpiewając woła:  
 Leniuszkiem nie chcę być  
 Bo źle na świecie żyć.

W. Hanusia kl. I

## Powieść o nędzy i Grzędziaku.

W pewnej wsi Chichotki mieszkał wieśniak imieniem Grzędziak. U Grzędziaka siedziała zawsze na patelni nędza, a gdzie jest nędza tam niema co jeść. Grzędziak miał żonę i troje dzieci, a że była u niego nędza, więc i rodziny nie mógł wyżywić, a że miał konia, więc jeździł na zarobki. Razu jednego zawołał go młynarz aby mu zwiózł drzewo z lasu. Grzędziak zgodził się na to i gdy wyszedł młynarz, mówi on do nędzy: „Chodź ze mną do lasu, ja ciebie wpakuję do spróchniałego drzewa i ty pojedziesz do młynarza, który jest bogaty, i będziesz tam na patelni mieszkała”. Nędza zgodziła się na to i tak uczynili, jak mówił Grzędziak.

Gdy Grzędziak przywiózł drzewo do młynarza, wtedy nędza wylazła i usadowiła się na patelni, i od tej pory stawał się młynarz biedniejszy a Grzędziak bogatszy. Bywa...

Różnie bywa w życiu!

A. Maszkiewicz (Leniuch) kl. III.

# WOLNA TRYBUNA

## Nie krzywdzić polskiego teatru.

(Apel do społeczeństwa!)

Mamy od lat wielu własny teatr szkolny. Kronika gimnazjalna złotymi głośkami zapisała dorobek nasz kulturalny na niwie teatralnej. W ramach i granicach możliwości — robimy wszystko. Lecz widzimy, że nas społeczeństwo dziśniejsze trochę krzywdzi. Nie chcemy i nie mamy prawa wskazywać palcem: kto zawinił.

Mówmy jednak o sprawie teatru i o stosunku do tego teatru zasadniczo.

Mamy wolną Polskę mamy wyproszoną u Boga i wyśnioną przez naszych wieszczów romantycznych Niepodległość. Orężem i krwią żołnierza polskiego znaczyliśmy granice niepodległości Ojczyzny. Należy ugory na kresach ulepszać. Czem? Kulturą polską, teatrem polskim, mową ojczystą. Musimy promieniować, by Warszawa wiedziała, że cały organizm polski żyje, ma krew i ciało, że to nie są tylko «dzikie pola». Zaborca odszedł, już czas zerwać z orientacją umysłowo moskalofilską. Czas spojrzeć rzeczywistości w oczy i zrozumieć, że Nowa, Odrodzona Polska jest rzeczniką tolerancji religijnej i praworządności politycznej, ochroną przed azjatyzmem: Na kresach Polski kończy się Europa — mówią obcy, zagraniczni goście. Niech ten filar stoi silnie, a pewnikiem trwałości — polska kultura.

Ukraiński teatr jest bardziej zrozumiały dla tych, co ulegali kulturze i mowie rosyjskiej, lecz należy pamiętać, że obowiązkiem jest uczyć się mowy polskiej, czytać klasyków polskich, znać przejawy kultury naszej i odnosić się do dramatu rodzinnego z szacunkiem. Nie można omijać Domu Ludowego, bo tam jest żywa szkoła mowy polskiej. — Polska chce wdzięczności i serca. Więc — do nas! — Śmiało, uczciwie i szczerze!

## Głos inteligenta.

Jestem miłośnikiem sceny polskiej. Dla tej przyczyny nie jestem zgryźliwym krytykiem, ale życzliwym informatorem. Teatr ma zadanie wychowawcze i estetyczne, uczy kochać prawdę i piękno. Jest nadto i instytucją dochodową. Ten drugi czynnik zmusza każdego dyrektora teatru do liczenia się z publicznością. Nie można iść wbrew współczesnemu prądowi. W Polsce i u obcych odczuwa się kryzys, stąd pieniądz staje się droższy, wydatki każdy ogranicza i jeżeli wydaje grosze, to musi mieć satysfakcję, musi mieć zadowolenie.

W demokratycznym państwie musu niema, jest tylko dobra wola. Obowiązkiem moralnym jest popieranie instytucyj kulturalnych we własnym interesie, by nie skostnieć, zamrzeć i skabotyńnić. Obowiązkiem teatru jest też społeczna współpraca. Czego chce publiczność? Radości życia, a nie cmentarza. Jeżeli sami głosicie szkołę radości, dajcie miastu tę radość. Niewola się skończyła, dosyć łez, spazmu i załamywania rąk! Chcemy zagadnień współczesnych na scenie, a nie nudnych 3 aktowych czy jednoaktowych djalogów.

Sapienti sat. Fotel Nr. 5. Dzisiaj, dn. 29.XI. 1931.

### **Szanowna Redakcjo!**

Proszę o umieszczenie moich kilku zdań w dziale «Wolnej trybuny», o ile Redakcja to uzna za możliwe i stosowne.

Niemoralność stosunków powojennych, zdenerwowanie i wiele innych czynników złożyło się na to, że my—młodzież szkolna mamy bardzo wiele wad i usterek. Każdy, kto się nad tem zastanawiał, musi przyznać mi słusność. Naturalnie nie jest to naszą winą, lecz poszukiwanie winowajców do niczego nie prowadzi, raczej należy zastanowić się nad tem, jak złemu zaradzić.

Zastanówmy się przeto, czy w dotychczasowym naszym życiu pracowaliśmy naprawdę dla dobra społeczeństwa? (Nie mówmy o ludzkości!) Przypomniły mi się wzniosłe hasła, wpisywane ku wiecznej rzeczy pamiętce do albumików naszych koleżanek, czyśmy istotnie odczuwali je i starali się je w miarę możliwości realizować?...

O ile ktoś zdołał uleczyć siebie z niemocy ducha — zdobyć ideę, cel swego życia, to drugim niezmiernie ważnym jego obowiązkiem jest starać się wpłynąć na swe otoczenie, a więc organizacje ideowe. Wprawdzie na terenie naszego zakładu istnieją takie organizacje, to jednak obowiązkiem ich jest uświadomić sobie, że bezczynność i obojętność jest zdradą idei, zwłaszcza, że Panom Wychowawcom nikt nie może zarzucić braku dobrej woli i pracy, że wszelkie nasze poczynania w tym kierunku są mile widziane.

A więc do czego dążymy? Czyż nie należy trochę czynniej objawiać naszych dążeń? Należy się udoskonalać, pokonywać przeszkody i stwarzać zadowolenie z rzeczy, które są poza nami, jako fakty dokonane w życiu.

N. T. P. H.

## **KRONIKA.**

— **Za wierną służbę Ojczyźnie!** Dnia 9 listopada r. b. został wyróżniony odznaką „Krzyża Niepodległości» kierownik naszego zakładu, dyrektor, doktor Tadeusz Staniewski. Jest to już powtórne odznaczenie ze strony rządu polskiego, albowiem 3 lipca 1928 r. nadano p. dyrektorowi «Złoty Krzyż Zasługi». Redakcja naszego pisma z radością wita ten objaw szacunku, z jakim spotyka się praca społeczno-narodowa cichego pracownika, który dziesięć lat pracy organizacyjnej i wychowawczej poświęcił kresom północno-

wschodnim. Miasto Dżisna, w dziejach swego rozwoju, złotemi głoskami zapisze zasługi Człowieka, który umysłowość swą i energję w latach największego chaosu administracyjnego poświęcił bezinteresownie na ołtarzu wolnej Ojczyzny. Gdyby nie dyrektor dr. Staniewski, społeczeństwo dzisiejskie byłoby pogrążone w morskafilstwie albo zupełnej stagnacji umysłowej i moralnej.

**Rocznica śmierci Patrona Zakładu.** Dnia siedemnastego listopada r. b. gimnazjum nasze obchodziło uroczystie rocznicę śmierci Patrona Zakładu księdza Grzegorza Piramowicza. Referat szkolny wygłosił prof. Ditrich Arem, przedstawiając całokształt działalności organizatora szkolnictwa ludowego na terenie kresów wschodnich. Uroczyste nabożeństwo w kościele parafjalnym, celebrował ksiądz prefekt, Sylwestr Małachowski.

**Obchód rocznicy powstania O. S. P.** Dnia 22 listopada odbyło się uroczyste poświęcenie sztandaru O.S.P. Następnie w obecności p. Starosty oraz inteligencji miejscowej składali przysięgę: naczelnik straży i druhowie. Po przysiędze przystąpiono uroczystie do rozdania odznaczeń, poczem nastąpiła defilada i popisy na rynku miejscowym w obecności władz oraz licznie zebranej publiczności. Podczas obiadu przemawiali pp. Starosta, mecenas Rusiecki i inni. Wieczorem odbyło się przedstawienie, w „Domu Ludowym“, na którem było... piętnaście osób. Uroczystość zakończono wspólną zabawą ludową.

**Z teatru.** 22 listopada r. b. zostały odegrane przez druhow O.S.P. 2 komedyjki p. t. „Chrapanie z rozkazu“ oraz „Pożar i komisarz“. Gra aktorów wypadła błado, szczególnie ról kobiecych. Postacie burmistrza i woźnego odegrano lepiej.

30 listopada r. b. odegrano staraniem Koła Dramatycznego Gimnazjum „Warszawiankę“ St. Wyspiańskiego, poprzedzoną referatem, deklamacją i solowym śpiewem.

**Zmiany w Redakcji.** Dnia 3.XII. r. b. odbyło się posiedzenie komitetu redakcyjnego. Na terenie gimnazjum została przeprowadzona reorganizacja tegoż komitetu, która polega na tem, że do komitetu weszli przedstawiciele młodzieży gimnazjalnej od czwartej klasy włącznie. Ma na celu tego rodzaju kooptacja utrwalenie podstawy intelektualnej naszego piśmka przy pomocy szerszej współpracy.

Na zebraniu prof. Aleksander Matyaszkó jako dotychczasowy opiekun pisma przelał swój urząd na prof. Aleksandra Bolesława Cypsa. Ustępujący opiekun „Naszego Głosu“ umotywował w pożegnalnem przemówieniu przyczyny rezygnacji z dalszego redagowania piśmka, a mianowicie podkreślając nawał pracy w bibliotece szkolnej. Prof. A. Matyaszkó podkreślił swój sentyment, jaki żywi dla „Naszego Głosu“, nazywając pracę uczniów „nowonarodzonym dzieckiem“. Redakcja przeto za trud, energję, ofiarność i przywiązanie byłemu swemu Opiekunowi wyraziła na posiedzeniu słowa wdzięczności. Prof. A. B. Cypś podkreślił estetyczną stronę pisma, prosząc o harmonję, współpracę i bezinteresowność w pracy dla pisma, bez szukania korzyści osobistych z powodu próżności, ambicji i zarozumiałstwa.



Na zebraniu była obecna nauczycielka tutejszej Szkoły Pow-szechniej, p. Bronisława Szantyrówna, która wyraziła szczególną chęć współpracy w piśmie gimnazjalnym i tembardziej zacieśniła węzły koleżeństwa międzyszkolnego na terenie powiatu dzieńieńskiego.

Ustępującemu Opiekunowi wyraża Redakcja nasza podziękowanie publiczne staropolskiem „Bóg zapłać“.

**Zebranie W. S. U.** Dnia 4.XII. r. b. odbyło się plenarne posiedzenie sekcyjnych Samorządu Uczniowskiego „Współpraca“. Na zebraniu odczytano sprawozdanie redakcyjne i koła dramatycznego. Prócz tego była poruszana sprawa L. O. P. P. Pan dyrektor oświadczył, że opiekunem L.O.P.P. będzie prof. R. Kamoda i że wkrótce będzie utworzona sekcja L.O.P.P. Składka miesięczna ma wynosić 10 gr. od członka. Następnie zostanie utworzona sprawa oszczędności. Wreszcie zaprotokółowano ogólny brak książek w bibliotece, omawiających zagadnienia współczesne. Pan Dyrektor obiecał w powyższej sprawie—pomoc i poparcie.

## Humor i satyra.

### Między koleżankami.

Zosia: Słuchaj, czy uczysz się już do matury?

Stefcia: Tak, moja droga, aż do utraty «przyjemności».

### W domu.

Chłopczyk do matki: Mamusiu jestem chory.

Matka: Cóż ci takiego?

Chłopczyk: Nie mogę iść do szkoły, bo mi łacina uderzyła na mózg.

### Z nauki o Polsce współczesnej.

Nauczyciel: Ile jest stronnictw politycznych?

Uczeń: Dwa.

Nauczyciel: Tylko.

Uczeń: Tak jest. Są bonapartyści i bonapartacze.

### Na lekcji geografji.

Nauczyciel: Kogo nazywamy odkrywcą?

Uczeń: Tego który szukał i znalazł.

Nauczyciel: Daj przykład!

Uczeń: Nasz pan dyrektor. On pana profesora odkrył i pokazał młodzieży.

Nauczyciel: Czy to pochlebstwo, czy żart niesmaczny!

Uczeń: Tak, geograficznie, miejscami: to i tamto. Miejscami pan psor jest dobry, a miejscami... (tu dalszy wywód przerwał dzwonek).

## Odpowiedzi Redakcji.

- 1) **Filusiowi** z kl. III.: Zagadka dobra. Tylko śmiało, tak dalej pracować dla pisemka.
  - 2) **A. Kijanowskiemu**, z kl. I.: Rebusik umieszczony. O pisemku nadal pamiętaj.
  - 3) **Kurkównie**: Słabe, bez sensu. Skorzystać nie możemy.
  - 4) **Nieznajomemu**: Rebusów nielogicznych nie umieszczamy. Musi wszystko mieć jakiś sens, nawet rebus.
  - 5) **H.**: Wiersz «Teśknota»—słaby, bez treści. Prosimy o pracę poważną i staranną.
  - 6) **Stefandusowi**: Śmieci skrzynka redakcyjna nie przyjmuje. Pracować serio!
  - 7) **J. Zagibalskiemu**: Rebus dobry. Umieścimy.
  - 8) **Kiełbasię**: «Nie dla psa kiełbaska» (zaprzestać tworzenia!)
  - 9) **Maszkiewiczowi**: («Leniuch»). Naszem zdaniem przydomek brzydki, pseudonim żakowski—dowcipny.
  - 10) **Zośce B.** z kl. II.: Bajka niesamodzielną, wziętą z książki «Moje czytanki» (cz. I.) Tylko własna praca coś daje owocnego młodzieży.
  - 11) **Stachowi Wiarusowi**: z kl. III.: Mało mówić—więcej robić. Wszystko do kosza.
  - 12) **„Amatorowi“**: Dobrze. Prosimy o dalsze.
  - 13) **Halince**: kl. I.: Okradać z pomysłów nikogo nie można. Wierszyk bardzo spokojniejszy z wierszykiem kol. Kasatego «Dziś jestem sam» (Nr. 1. r. II. s. 11).
- Z powodu obfitego materiału, wiele rękopisów zostawiliśmy do następnycy zeszytów. Jeżeli kogo w liście wymienionych opuściliśmy przez pośpiech — przepraszamy. Zainteresowanych prosimy o pismo czytelne, staranne i poprawne.



## Z okazji świąt „Bożego Narodzenia“.

Zamykając zeszyt grudniowy niniejszą Kroniką, Redakcja „Naszego Głosu“ składa życzenia,

### Wesołych Świąt!

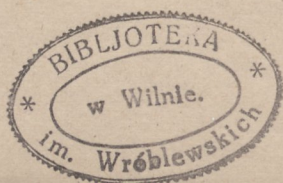
J. W. Panu Kuratorowi Okręgu Szkolnego Wileńskiego, W. Panu Wizytatorowi Okręgowemu, Panu Dyrektorowi oraz całemu gronu Profesorskiemu z księdzem prefektem na czele.

Życzenie świąteczne składamy ponadto naszym Koleżankom i Kolegom Gimnazjalnym i ze Szkoły Powszechnej.

Pisemko nasze polecamy łaskawej pamięci wszystkim tym, którym nie obcy: trud i wysiłek ucznia. Mamy nadzieję, że z każdym zeszytem, ukazującym się w druku, łączność „Naszego Głosu“ ze społeczeństwem na kresach północno-wschodnich będzie bardziej spoista i owocna. W ten tylko sposób „Nasz Głos“ promieniować może i spełniać zadanie opiniodawcy i informatora.

Na wyrazy uznania i wdzięczności zasługuje ze strony Redakcji i pisma współpraca młodzieży Szkoły powszechnej z organem młodzieży gimnazjalnej w Dziśnie.

Redakcja „Naszego Głosu“.



## **KSIĘGARNIA POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ W DZIŚNIE**

podaje do wiadomości, że można tanio nabyć w większej ilości narty z wiązaniami systemu zbliżonego do systemu „Wujka” i z kijkami leszczynowymi. Całość precyzyjnie wykonana w cenie zaledwie 35 zł. Loco: miejsce pobytu nabywcy. Zamówienia kierować do Pol. Mac. Szkolnej w Dzisnie.

## **Na sezon karnawałowy**

ZAKŁAD FRYZJERSKI

**H. DWORMANA**

zawiadamia, że wykonuje najnowsze czesanie dam oraz ondulację  
**UWAGA! Zakład egzystuje od roku 1897.**

Opiekun pisma: prof. Aleksander Bolesław Cyps.

Opiekunka z ramienia Szkoły Powszechnej prof. Bronisława Szantyrówna.  
Redaktor: Piotr Pupin, uczeń kl. VII. Wydawca: Młodzież Szkolna w Dzisnie.

